

Brudny Harry

Autor: Jacek Józwiak

O ochronie, a raczej braku ochrony wód i ich zasobów... Prawo i życie, rzeczywistość i fikcja, straż rybacka, policja i inne organy - czyli o tym jak Polski Związek Wędkarski i Państwo nie potrafią pilnować wędkarskiego dobra.

Kiedy po raz ostatni kontrolowany byłeś nad wodą? - To pytanie wywołuje na twarzy każdego kolegi po kiju dość potężny wysiłek umysłowy. Nie dlatego bynajmniej, że kontrole są tak częste i trzeba nieźle się nagłowić, by przypomnieć sobie datę ostatniej, lecz przez to, że większość nagabniętych usiłuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w wędkarskiej karierze widziała na oczy strażnika rybackiego.

Trzy czwarte z tych, którzy pytani byli jednak o kartę wędkarską, kontrolę nad wodą kojarzy z policją, czyli z organem, który tak naprawdę ma inne zadania niż pilnowanie gospodarstwa Polskiego Związku Wędkarskiego. Pierwszoplanowym zadaniem policyjnych wodniaków jest ochrona ludzkiego bezpieczeństwa i fakt, że czasami poświęcają trochę czasu na ganieianie kłusowników czy sprawdzanie kart wędkarskich, świadczy o dobrej woli tych służb. Pozostała ćwiartka

kontrolowanych nad wodą to najczęściej ludzie, którzy często wędkują na Mazurach lub innym pojezierzu, gdzie istnieją duże, nieźle zorganizowane i dobrze zarządzane gospodarstwa rybackie. Straż powoływana przez właścicieli i dzierżawców wód bywa dość operatywna, zdarza się że dysponuje zupełnie przyzwoitym sprzętem pływającym, a nawet łącznością. Przede wszystkim zaś działa w poczuciu własnej wartości, pilnuje wszak konkretnego majątku, za konkretne pieniądze.

Doświadczenie uczy, że im bliżej chronionego dobra znajduje się strażnik, tym efekty pilnowania lepsze. Wystarczy przyjrzeć się stawom hodowlanym, niekiedy rozłożonym na dużej przestrzeni i wcale niełatwym do upilnowania. Nic tak nie odstrasza złodziei, jak hasło rzucone po okolicy:

Właściciel na grobli!

Jeśli jeszcze - jak w jednym z podwarszawskich gospodarstw stawowych - ów właściciel po groblach chodzi z drylingiem i ogromny posokowcem hanowerskim bez kagańca, to można uwierzyć w skuteczność ochrony.

Prywatnego właściciela nie wiążą jednak szczegółowe przepisy dotyczące osób prawnych, a więc właścicieli czy dzierżawców "zbiorowych", jakim jest na przykład Polski Związek Wędkarski. Osoba, zwana przez prawo fizyczną, może strzec własnej własności, opierając się na zwyczajowej interpretacji prawa. Nawet jeśli złodziejski tyłek zostanie nafaszerowany kaczym śrutem czy rozerwany przez psie zęby, to trudno będzie znaleźć sąd, który skaze właściciela.

Polski Związek Wędkarski jest niestety wiązany przez ustawę o rybactwie śródlądowym, a właściwie przez tę jej część, która mówi o obowiązkach i uprawnieniach Społecznej Straży Rybackiej. Ustawodawcy musiało coś się w głowie poplątać, ponieważ tak naprawdę ani straż państwowa, ani tym bardziej społeczna w praktyce nie mogą niemal nic.

Zawodowy rybak czy zrzeszony wędkarz są zobowiązani na żądanie strażnika okazać dokumenty uprawniające do łowienia ryb, ale jeśli ich nie posiadają lub nie chcą wyjąć z kieszeni, to kontrolujący nic nie może na to poradzić. Ustawa nie daje straży społecznej prawa do legitymowania kogokolwiek. Strażników społecznych można więc potraktować kalamburem:

<Nie straż, nie straż,
bo się...Trudno się więc dziwić, że akcje przeprowadzane przez straż społeczną przy Polskim Związku Wędkarskim mają charakter spektakularny. Wyznaczana jest data, gromadzone środki, przeglądane mapy. Operacja ma jakkolwiek sens tylko wówczas, gdy uda się uzyskać policyjne wsparcie. Wzmocnienie ze strony PSR nie wystarcza.

Na dobrą sprawę schwytyany na gorącym uczynku kłusownik może zabawić się w Ghandiego - położyć się na ziemi i zastosować tzw. bierny opór. Funkcjonariusz Państwowej Straży Rybackiej może co najwyżej zanieść gościa na własnych rękach na komisariat policji, bowiem np. broni palnej wolno mu użyć jedynie:

w celu odparcia bezpośredniego, bezprawnego zamachu na życie jego lub innej osoby,

przeciwko osobie, która usiłuje przemocą odebrać mu broń,

przeciwko osobie, która wezwana do natychmiastowego porzucenia broni lub innego niebezpiecznego narzędzia nie zastosuje się do tego wezwania, a jej zachowanie wskazuje na bezpośredni zamiar ich użycia przeciwko strażnikowi lub innej osobie.

Trudno się więc dziwić strażnikom, że bez policyjnego wsparcia ich działalność ogranicza się zazwyczaj do zagładania w sadze rybaków zawodowych, do mierzenia wielkości oczek w ich sieciach, a czasami - sprawozdania dowodzą, że niezbyt często - do wyjęcia z wody kłusowniczych żaków, drygawic, czy podniesienia z ziemi kasarka przystosowanego do kłusowania prądem.

Praktycznie jest to wszystko, na co strażnicy mogą sobie pozwolić na codzień. Co prawda w razie naruszenia lub zagrożenia naruszenia ustawy oraz przepisów wydanych na jej podstawie, strażnik Państwowej Straży Rybackiej, w celu zmuszenia do podporządkowania się jego poleceniom, ma prawo zastosować

środki przymusu bezpośredniego polegające na użyciu siły fizycznej, psa służbowego lub ręcznego miotacza gazu, ale w praktyce środków tych się nie stosuje. Bo co - wróćmy do naszego leżącego kłusownika - wsadzi mu miotacz gazu do nosa i będzie psikał?

Paranoja, a nie rozwiązanie. Siła fizyczna, wg rozporządzenia ministerialnego, to użycie mięśni w postaci chwytów rękami lub innych ruchów ciała - bardziej to przypomina instrukcję obsługi narzeczonej, niż uprawnienia organów państwowych powołanych do chronienia mienia ogólnospołecznego. Na dodatek rozporządzenie wyraźnie zaznacza, że używając siły fizycznej strażnik nie powinien zadawać uderzeń, więc tak naprawdę w arsenale pozostaje mu jedynie noszenie kłusowników na rękach. Albo inne ruchy ciała...

Mówienie o niemożnościach spowodowanych kiepską ustawą o rybactwie usprawiedliwia większość agend Polskiego Związku Wędkarskiego. Nie wszystkie zarządy okręgów powołały do życia własną straż etatową i poprzestają na wspomnianych już spektakularnych przedstawieniach z udziałem społeczników, straży państwowej oraz policji. Dla rzeczywistej ochrony wód i ryb takie akcje mają podobny wpływ, jak interpelacja poselska na pałacy problem społeczny. Czyli żaden.

Bolesnym wrzodem na sumieniu działaczy z takich okręgów jest fakt, że tu i ówdzie w Polsce myśli się o

możliwościach rzeczywistej pieczy nad wspólnym wędkarskim majątkiem. Szukano furtek prawnych, by uciec spod "niedorobionej" ustawy i niektórym udało się obejść prawo. Niespójności kodeksowe i ustawowe pozwoliły sięgnąć do ustawy o ochronie przyrody i w porozumieniu z wojewodami przy Polskim Związku Wędkarskim powołać Straż Ochrony Przyrody.

Sopista, w przeciwieństwie do społecznego strażnika rybackiego, nie jest skazany na noszenie na własnych rękach kłusowników i ludzi dopuszczających się wykroczeń... Ustawa o ochronie przyrody daje mu możliwość legitymowania, nakładania i ściągania mandatów - i tu zaczyna się mała falandyzacja. Strażnik ochrony przyrody otóż jest powołany po to, by strzec przepisów o ochronie przyrody. Oczywiście jest więc to, że może on kontrolować wędkarza na przykład na terenie parku narodowego czy krajobrazowego. Ale od czego profesorskie wzorce...

Sopista wszak zawsze może mieć podejrzenie, że oto łwione są ryby znajdujące się pod ochroną gatunkową. I nikt nie może mu zarzucić naginania prawa - wolno mu być takim podejrzliwym, a poza tym ustawa o ochronie przyrody z 1991 roku obejmuje swym zakresem także gospodarowanie

zasobami i składnikami przyrody. Czyż ryby i wody nimi nie są?

Taka właśnie furtka prawna przetestowana została w okręgu bydgoskim. Przy Zarządzie Okręgu znajduje się etatowa placówka SOP, zaś w terenie działa 400 strażników społecznych. Efekty zauważalne są na pierwszy rzut oka - kilka lat temu w każdą zimę na Kanale Piastowskim odbywała się szarpakowa rzeź, w biały dzień, bez najmniejszej żenady. Dziś niemal się to nie zdarza.

Przed kilku laty w nadnoteckich wsiach nikt łowiący ryby i będący przy zdrowych zmysłach nie zawracał sobie głowy opłacaniem składek. Dzisiaj już na początku roku nad rzeką spotyka się ludzi z uregulowanymi należnościami. Rzecz jasna nie przez to, że Zarząd Okręgu i wojewoda poszli w ślady ex-prezydenckiego prawnika, lecz dzięki temu, że strażnicy są częstymi gośćmi nad wodą w całym województwie. Mają mundury, niektórzy noszą broń gazową, grupa z okręgu dysponuje małym nissanem patrolowym. Są rozpoznawalni - sami i ich auto.

Polski Związek Wędkarski dysponuje dużym majątkiem. Oprócz tych wszystkich nieruchomości, samochodów, gospodarstw rybackich oraz pęczniejących wciąż kont bankowych, można na poczet związkowego dobra zaliczyć także dzierżawione wody oraz ryby w wodach tych płynące. Chodzi

o ogromne pieniądze

- gdyby było inaczej, nie działałyby na Pomorzu i Mazurach prawdziwe gangi rybne. Ktoś kiedyś wyliczył, że trzy czwarte wędzonych łososi i węgorzy, połowa sielawy i siei pochodzi z kłusowniczego procederu. Opłaca się chronić takie mienie.

W okresie ustrojowych i gospodarczych przemian dużo zmieniło się w dziedzinie ochrony mienia. W kraju działa - i zarabia niezłe pieniądze - wiele agencji ochroniarskich. Skoro więc można strzec bazaru, biura, pojedynczego sklepu, tym bardziej można pilnować mienia tak ogromnej wartości, jak to płynące w wodzie.

Jak bardzo skuteczne bywają agencje ochrony, można przekonać się w podwarszawskich pociągach podmiejskich. Liczba gapowiczów zmalała na tych liniach do ilości śladowych, bezpieczniejsze stały się podróże. Nie wszystkie firmy ochroniarskie odpowiadają za bezpieczeństwo w pociągach - sporo Dyrekcji Okręgowych PKP zdecydowało się na takie rozwiązanie - ale sama obecność kilku silnych facetów w pierwszym wagonie wystarcza, by chuligani znacznie przycichli. Tym bardziej że ochroniarze nie zwykli się patyczkować czy czekać na interpretacje prawne - zakłócających porządek okładają piąchami, nie zaś używają mięśni w postaci chwytów rękami i innych ruchów ciała.

Nie ma przeszkód prawnych, by Polski Związek Wędkarski

zatrudnił firmę ochroniarską

do pilnowania wód. Były już nawet takie próby, ale skończyły się fatalnie - jeden z okręgów wdał się w interes z hochsztaplerami. Agencja wzięła forszę i zniknęła jak biuro podróży - przez miłosierdzie nie wymienię nazwy związkowej agencji, ale zaocznie im dokopię. Tak właśnie kończą się niektóre przetargi. Zamiast brać agencję znaną, rzetelną i niestety drogą, bierze się kogoś najtańszego i traci żywą gotówkę. Sporo takiego myślenia w Związku - głowa niby tęga, przyprószona siwizną, na ramionach ślady po generalskich szlifach, ale stopy odziane w białe skarpety. Frotte!

Nie istnieją też kodeksowe przeciwwskazania do tego, by posiadające osobowość prawną okręgi PZW utworzyły samodzielnie takie agencje ochroniarskie. Otrzymanie koncesji nie jest takie trudne...

Sposobów na sensowne wyjście z ustawy rybackiej jest więc kilka. Zapewne każdy dobry radca prawny znajdzie ich więcej. Lecz trzeba by było radcę zatrudnić, należało by potem rozpocząć jakieś działania, które by furtkę prawną otworzyły. Na to jednak w Związku nie ma ani siły, ani chęci. Chlubne wyjątki, które starają się strzec swoich wód, nie zmieniają sytuacji generalnej.

Wody przynależne Polskiemu Związkowi Wędkarskiemu, a więc po prostu wody polskie, są

wydane na pastwę kłusowników.

Można w nich łowić bez zezwolenia, na wędkę i sieciami, można ciągnąć kable od linii energetycznych, można wrzucać do nich petardy i granaty. Taki proceder jest, i chyba długo jeszcze pozostanie, bezkarny. Nie poprawią sytuacji powroty do pomysłów, by w regulaminie PZW zaznaczyć znowu, że wędkarze mogą się wzajemnie kontrolować. Stan polskich rzek, jezior, kanałów, starorzeczy, zalewów nie zależy przecież od zapisów regulaminowych - chyba nie istnieje w kraju drugi, tak nagminnie łamany zbiór przepisów.

W przedpokojach i salonach Zarządu Głównego od lat można usłyszeć o aktywności związku w sejmie. Nikt - ani parlamentarzyści, ani członkowie rządu, ani administracja terenowa - nie ma wątpliwości, że kolejna ustawa o rybactwie wymaga zmiany. Akt prawny, który przez swój oportunizm nie daje najmniejszych szans na realizację czy egzekucję swoich zapisów, nadaje się wyłącznie na przemiał. Ale,

żeby wrzucić ustawę do maszyny niszczącej, należy przedtem zaproponować sensowny projekt nowego prawa.

I znów dobrego wzoru nie trzeba szukać daleko. Polski Związek Łowiecki, organizacja poniekąd pokrewna, doczekała się całkowitej zmiany przestarzałego i nieprzystającego do obecnych realiów prawa łowieckiego. Na uwagę zasługuje część dotycząca prawnych możliwości chronienia zwierzyny, którą myśliwi uznali za swoje najważniejsze dobro.

Podkreślić wypada fakt, że myśliwi - w przeciwieństwie do działaczy wędkarskich - nie lokują pieniędzy na kontach bankowych, ale nadwyżki zużywają głównie na działalność ochronną i ochraniarską.

Wydawać by się mogło, że

wędkarzy jest więcej

są lepiej zorganizowani, dysponują obecnie kilkoma tytułami prasowymi, w związku z tym. Ich siła przebicia w parlamencie powinna być znacząca. Jest żadna - nie można w związkowym organie znaleźć śladu uczestnictwa Związku w pracach komisji sejmowych. Krzywdzi to nieco działaczy Zarządu Głównego, bowiem zarówno oni, jak i związkowi eksperci bywają w gmachu na Wiejskiej.

W sejmie się głównie gada, więc dla wędkarzy ważne jest, co i jak się mówi, jak reprezentuje się całe środowisko, jak walczy o to, by nowa ustawa pozwoliła żyć spokojnie oraz bezpiecznie i rybom, i ludziom.

Nad wodą o działalności związkowej góry na rzecz ochrony ryb i łowisk można usłyszeć mnóstwo gorzkich opinii i paskudnych przekleństw. Pod zaporą w Dębem na jednym łowisku, często ramię w ramię, łowią wędkarze prawdziwie etyczni oraz szarpakowcy.

- Przydałby się nad polskimi wodami - powtarzają ci pierwsi - jakiś tyrmandowski Zły albo Brudny Harry, który zrobiłby porządek z bandziorami. Eastwoodowskiego bohatera raczej się nie znajdzie. To nie robota dla postaci literackich czy filmowych, to praca dla Polskiego Związku Wędkarskiego. Tyle że ryb trzeba strzec nie siłą mięśni, a rozumem, nie ruchami ciała, lecz głowy.